

KONKURS LITERACKI

PROZA

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy

„To będzie smutne. Od początku do końca” - z takim nastawieniem idę do Domu Pomocy Społecznej w Radomsku. Stojąc na korytarzu i masując skostniałe od mrozu dłonie, jestem tego całkowicie pewna. I po raz pierwszy myślę sobie: „Tu jest jak w szpitalu”. Panie w białych fartuchach. Ludzie na wózkach. Jakieś kroplówki. Idealna czystość. Ludzie starsi, chwiejący się na nogach, skrzywieni w jakimś grymasie, zupełnie nieobecni. Niepatrzący w oczy. Jak w szpitalu. Na pewno nie jak w domu. Stoję więc w miejscu, zupełnie przytłoczona, nie do końca wiedząc, w którą stronę patrzeć. Bo przecież niegrzecznie się gapić, kiedy człowiek przegrywa z ciałem i umysłem. Więc wbijam wzrok w buty i czekam. Jedna z krzątających się pań wita mnie serdecznie i mówi, żeby iść za nią.

Trzeba szukać pozytywów

Pani Lidia zaskakuje mnie jako pierwsza. Uśmiecha się uprzejmie, od razu zagaduje, mówi „nic nie szkodzi”, kiedy pchając wózek do windy i na piętro, po raz kolejny nieporadnie uderzam kołem w ścianę. Myślę - jest dobrze. Będzie dobrze. Jednak kiedy znajdujemy się w pokoju - małym, cichym, zastawionym sztalugami malarskimi i książkami, dopiero wtedy roztacza się wokół mnie jakaś niewyraźna w słowach magia. Kiedy mówi mi o *Sekretnym Życiu Drzew*, widzę w jej oczach błysk fascynacji.

- To są zdumiewające rzeczy. Teraz mogłabym niemal posądzić rośliny o myślenie. Ale nie nauczymy się języka drzew, najwyżej nauczymy się ostrożnie z nimi postępować – dzieli się wrażeniami z przeczytanej książki Pani Lidia.

Mówi dalej, a ja słucham jej coraz bardziej oczarowana. Te długie, kwieciste zdania, ten błysk w oku. Te książki na półkach. Listy. Obrazy. I nagle zrozumiałam, że to nie będzie rozmowa ze starością. Nie z samotnością, nie z tragedią, nie z chorobą. To będzie rozmowa z człowiekiem. Z człowiekiem, który jeszcze myśli i jeszcze czuje. Który w pełni żyje, a nie już umiera. Rozglądam się uważniej po pokoju i wskazuję na niedokończony obraz pod oknem. Pytam, czy maluje.

- Nie, to nie moje, niestety. Ja dzielę pokój z tym malarzem, Adamem Sankowskim. On szuka przestrzeni, tak jak każdy artysta, a ja nie chcę mu przeszkadzać, więc gospodaruję na tym moim tapczanie – tłumaczy.

Po chwili dowiaduję się, że Pani Lidia trafiła do ośrodka półtora roku temu. Nie sprawia jednak wrażenia ani zawiedzionej, ani rozczarowanej. Może się pogodziła? Ale tutaj? W DPS-ie?

- Po tym jak wypiastowałam siostrę mojej mamy, mojego tatę i siostrę na końcu, zostałam sama jedna. I przypadł mi taki los, że muszę być w tym domu opieki i już nie mam żadnych krewnych. Dla mojej rodziny, która mi została to już jestem ciotką, babcią. Trzecie pokolenie, to już nie są żadni krewni, dzieciąta woda po kisielu. Także to jest konieczność. Jedni na przykład, będąc tutaj, wyobrażają sobie, że to jest straszne więzienie. Inni natomiast, że tu da się jeszcze coś zbudować. Pierwszą rzeczą, jaką zabrałam ze sobą, to był komplet Mickiewicza. Trafiłam więc tu z tym „Panem Tadeuszem” i paroma książkami, a reszta, wszystkie moje rzeczy zostały tam, już nic nie mam, zrobiło mi się bardzo lekko – wspomina.

Lekko? Jak to? A gdzie samotność? Gdzie strata? Gdzie tęsknota, o której tyle się mówi? Spoglądam na nią zaskoczona, ale Pani Lidia tylko się uśmiecha.

- Bo nic nie mam, nie muszę się o nic troszczyć – wyjaśnia. – Bo to zależy od tego jak delikwent, któ-

KONKURS LITERACKI

PROZA

ry jest skazany na ten dom do tego podejdzie. Wszystko zależy od nastawienia człowieka, ja nastawiałam się pozytywnie, starałam się szukać dobrych stron. Te złe odpycham i odganiam od siebie. Ja nie mogę powiedzieć, że ja siedzę tutaj, czekając na śmierć.

Kiedy rozmowa schodzi na temat przeszłości, dowiaduję się, że Pani Lidia przez wiele lat pracowała jako dziennikarka w „Gościu Niedzielnym”.

- W tamtym ustroju, w RWPG, wydanie takiego czasopisma było prawie niemożliwe. Jak mogli, tak nas ograniczali. Cudem, po pół roku czasopismo powstało, a ja musiałam jeździć po mieście i szukać kogoś, kto by mi coś napisał. Znalazłam Mariana Orłonia, który już nie żyje, panią Musierowicz, która została okrzyknięta „Makuszyńskim” naszego wieku. Tak udawało mi się przez 10 czy 11 lat, a potem już zdarzenia rodzinne zdominowały moją działalność dziennikarską.

Kobieta pokazuje mi fotografie z tamtych lat. Teraz trudno już znaleźć podobieństwo, jednak Pani Lidia uśmiecha się z sentymentem...

- Ale człowiek się jakoś broni. Jak się wybroni tak będzie miał. Tutaj na palcach jednej ręki można policzyć osoby, z którymi się można porozumieć. Większość ludzi jest grubo po osiemdziesiątce i oni śpią przeważnie. Są budzeni, z trudem wożeni na posiłki, a potem mówią „spać, spać, spać”. Więc listownie rozmawiam z moimi starymi znajomymi. Wczoraj napisałam piętnaście listów do różnych ludzi. Do starych przyjaciół, ze studiów, z pracy, z wędrowek po Beskidach.

Kiedy pytam, czy nie doskwiera jej samotność, wzrusza ramionami, a ja znowu jestem zaskoczona. No bo jak to tak, skoro pogadać nie ma z kim, tylko do kartki papieru?

Na początku może doskwierała, ale raczej nie samotność, a nicnierobienie. Dla mnie ważny jest fakt, że jestem w Radomsku - mieście mojej młodości. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale to dla mnie ważne. Czasami kuzyni, dla których jestem ciocią, babcią zabierają mnie i obwożą po starych kątach – uśmiecha się. - Tu rozmawiam sobie trochę z tym malarzem. Ja wszystkich bliskich powoli traciłam i na samotność nigdy nie narzekałam. Ja jestem takim odludkiem, który lubi czytać. Jakby mnie zostawili z książkami i dali święty spokój, to też by mi było dobrze. Bo krytycznie można wiele rzeczy widzieć, pewnie bym pokazała palcem, ale ja nie Herkules, nie zwalczę tego. Wedle stawu grobla. Trzeba mieć tyle kultury, żeby wiedzieć, kiedy zejść ze sceny, czyli umrzeć z godnością i nie zawracać sobą głowy. Sam Młynarski śpiewał – „jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy”.

Trzeba akceptować siebie i innych

Pan Adam specjalnie dla mnie wystroił się w garnitur. Na powitanie całuje w rękę, prowadzi do małego pokoiku, pełnego zdjęć, obrazów i rysunków. Widać, że artysta.

- Moje malarstwo zaczęło się bardzo wcześnie, bo w domu rodzinnym. Mój ojciec też malował, więc cały mój światek dziecienny był pełen kolorowych obrazków. Najpierw uczył mnie ojciec, potem ojca profesor, który był uczniem Jacka Malczewskiego. Oprócz lekcji u profesora Brożka, dużo pracowałem sam. Z ojcem ustawialiśmy na stole martwą naturę i rysowaliśmy. Pewnie, że różnica była niesamowita, bo ojciec był doskonały w rysunku i w kolorze. Ale to była najlepsza nauka – wspomina z rozrzewaniem.

Pan Adam mówi o malarstwie z takim zaangażowaniem, że przez chwilę jest mi głupio, że przyszłam rozmawiać z nim głównie o DPS-ie. Mimo wieku i poważnych chorób trudno uwierzyć, że mieszka w takim miejscu. Pozwalam więc, by opowiadał swobodnie, w międzyczasie przeglądając jego wiersze i rysunki. Mówi, że mam wziąć kilka na pamiątkę, chętnie się podzieli. Pytam, czy właśnie malowaniem stara się zagospodarować wolny czas.

- Ja nie mam czasu, tyle mam zajęć. Ja po nocach siedzę, bo nie mogę za tym nadążyć. I dodam, że

KONKURS LITERACKI

PROZA

zawsze jestem pozytywnie nastawiony do życia, ale czasem mnie wytrącają różne sytuacje z równowagi i muszę nad tym zapanować. I wtedy zamykam się w pokoju i czytam.

Kiedy pokazuje mi *Sekretne Życie Drzew*, nie mogę się nie uśmiechnąć. Po chwili Pan Adam sięga po tablet i zaczyna pokazywać mi zdjęcia rodziny.

- Niech pani porówna. Tu moja żona z córką, a tu córka z dzieckiem. Kiedyś jak wnuczka usiadła ze mną to trzy i pół godziny bez przerwy siedziała i malowała. Nikt jej nie namawiał, nikt jej nie kazał, sama nie mogła się oderwać, tak ją to pasjonowało. Stworzyła ponad 300 rysunków, a ma dopiero cztery i pół roku – mówi z dumą. - Cieszy mnie to. Ja zawsze ludzi, którzy zajmują się malarstwem, rysunkiem, teatrem, muzyką, tańcem bardzo cenię, bo to są ludzie, którzy są wrażliwi. A dzisiaj potrzeba nam tej wrażliwości bardzo dużo. Żeby zrozumieć drugiego człowieka - trzeba zrozumieć samego siebie. Jak się siebie zrozumie i polubi, to się polubi drugiego człowieka. Na tych prostych słowach to się opiera – pokochać drugiego człowieka.

Oglądając zdjęcia, nie kryję zaskoczenia. Skoro rodzina jest tak duża, to dlaczego DPS? Dowiaduję się, że Pan Adam trafił tutaj po śmierci żony i trzecim zawale serca.

- Mnie nikt nie wysysał, powiedzieli, że jak chcą to pomogą, zapłacą za mnie. Ja sam przyszedłem tu, bo nie chciałem być dla nikogo ciężarem. Ale gdyby mój brat chciał tu przyjść, to bym go nie puścił. Uważam, że najważniejsza jest rodzina i powinna być cała. Tu trudno się spotykać, bo nikt nie lubi tu przyjeżdżać. Oby młodzież nie miała takich sytuacji, żeby musiała rodziców oddawać. Dziadek i babcia są potrzebni dzieciom, nie po to, żeby kupować zabawki. .. Ale ja się nie poddaję, nie wolno się poddawać.

Trzeba kochać ludzi

Pani Iwona Grabarczyk w DPS-ie jest terapeutką od dwunastu lat. Spotykam ją na korytarzu, kiedy ubiera z koleżanką choinkę.

- Jestem z nimi w Wigilię praktycznie co roku. Wtedy wspólnie dzielimy się opłatkiem, składamy sobie życzenia. Ja jeszcze praktykuję coś takiego, że przed Wigilią, jako terapię robię spotkanie z osobami, które cały rok chodziły do mnie na zajęcia. To jest tak zwany „opłatek na terapii”. Oprócz życzeń przepraszamy się nawzajem, czasami są i łzy, to takie oczyszczenie.

Kiedy pytam, jak się pracuje w takim miejscu w tym świątecznym okresie, uśmiecha się, ale przyznaje, że nie jest łatwo.

- To nie chodzi tylko o terapeutę, o psychologa, to chodzi o każde stanowisko w tej placówce – trzeba mieć wielką empatię i umieć wczuć się w sytuację drugiej osoby, czasami nawet własnym kosztem. Grudzień jest wyjątkowo trudnym miesiącem, ponieważ to nie święta wielkanocne, ale właśnie Boże Narodzenie jest dla wszystkich bardzo dużym przeżyciem, i te osoby, które nie są odwiedzane przez rodziny, czują się bardzo osamotnione, więc wzbiera w nich złość, którą na kimsz muszą wyładować. I my wiemy, że ci państwo nie krzyczą na nas, tylko krzyczą do nas. I nawet jeśli w tym czasie przedświątecznym są częściej niezadowoleni - my to rozumiemy. Pracując tutaj, trzeba mieć bardzo dużo cierpliwości, bardzo dużo miłości do człowieka. To nie jest praca z komputerem, który można wyłączyć, to jest praca z człowiekiem, żywym, chorym, opuszczonym i do tego tracącym poczucie własnej wartości. Pewnie, jest to jakaś namiastka domu. Ale to miejsce z nazwy tylko. Niektórzy się bardzo cieszą, że ktoś o nich pomyślał, że dostają upominki. To zależy od człowieka i charakteru. Jednak na pewno nie zastąpi to tego, czego człowiek starszy potrzebuje - bycia ze swoją rodziną.

KONKURS LITERACKI**PROZA**

* * *

W Domu Pomocy Społecznej w Radomsku mieszka obecnie ponad 40 osób. W ostatnich latach za-
ledwie kilkoro z nich wyjechało na święta do swoich domów rodzinnych. Ze względu na stan zdrowia, już
mało który mieszkaniec DPS-u jest w stanie opowiedzieć swoją historię tak, jak zrobili to dla nas Pani
Lidia i Pan Adam. Dziękujemy Im za to.